№ 12. Czwartek — 29 Stycznia (10 Lutego) 1887 roku. Rok IV

Prenumerata

w Radomiu:

Rocznie . . . . rs. 4.
Półrocznie. . . . . „ 2.
Kwartalnie . . . . „ 1.
Z odnoszeniem do mieszkań miesięcznie kop. 5.

z przesyłką pocztową:

Rocznie . . . . . . rs. 5 kop. —
Półrocznie . . . . . „ 2 „ 50.
Kwartalnie . . . . . „ 1 „ 25.

GAZETA RADOMSKA

wychodzi w Niedziele i Czwartki rano.

Ogłoszenia:

Za 1 wiersz druku lub jego miejsce na 1-ej stronie po kop. 10
Na ostatniej za 1-y raz . „ „ 5.
Dwa następne . . . . „ „ 4.
Dalsze . . . . „ „ 3.
Nekrologie i *reklamy* podwójnie.
Ogłoszenia oprócz Redakcyi przyjmuje Warszawska Agentura Ogłoszeń Rajchman i Frendler, Senatorska 18.

Dnia 10 Lutego ś. Scholastyki Panny.
„ 11 „ „ ś. Lucyusza Biskupa.
„ 12 „ „ ś. Gaudentego B. W., Eulalii
„ 13 „ „ ś. Juliana M., Eufrozyny.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA
ulica Lubelska № 137.
ADMINISTRACYA otwarta od godziny 10 do 1 i od 4 do 7 | **REDAKCYA** przyjmuje interesantów w tychże godzinach.
Rękopisy bez zastrzeżenia nie zwracają się.

Wschód słońca dziś o godzinie 7 minut 28
Zachód „ „ „ 5 „ 2
Długość dnia . . . godzin 9 „ 34
Przybyło „ . . . „ 1 „ 56

Prenumeratę przyjmuje w Radomiu Redakcya Gazety Radomskiej, sklepy: P. Dubelta, P. Winklera i Księgarnia P. Zuckera.

Wiadomości bieżące.

Dowiadujemy się z „Kur. Warsz.", iż jednocześnie z prawem dotyczącem ochrony lasów opracowany został projekt kar za przekroczenia, pozostające w związku z tem prawem. Właściciele lasów, naruszający przepisy leśne, podlegają wyrokom władzy sądowej na ogólnych zasadach. Obowiązek pociągania winnych do odpowiedzialności ciąży na urzędnikach zarządu leśnego. Termin wytoczenia sprawy za niedozwolone niszczenie i wycinanie lasów oznacza się roczny, za uboczne a wzbronione korzystanie z lasów sześciomiesięczny. Za cięcie zielonych drzew w lasach, uznanych za ulegające bezwarunkowo konserwacyi, winni, prócz odebrania ściętego drzewa lub zwrócenia jego ceny, podlegają karze pieniężnej do wysokości podwójnej wartości ściętego drzewa według taks leśnych. Wycięcie leśnych przestrzeni, oprócz powyższej kary, pociąga za sobą obowiązek zadrzewienia ich nanowo i opłatę jednorazową po rs. 5 za każde 100 kw. sążni gruntu. Wszelkie kary pieniężne, otrzymywane za wykroczenia przeciw prawu leśnemu, przelewane będą do specyalnych funduszów zarządu leśnego i używane być mają wyłącznie na potrzeby gospodarstwa leśnego.

Pomiędzy departamentem rolnictwa i zarządem stadnin państwowych nastąpiło już porozumienie, co do środków ulepszenia typu konia roboczego. Według informacyi dzienników petersburgskich, w stadninach państwowych utrzymywać będą w tym celu rozpłodowych ogierów typu bawarskich i belgijskich koni roboczych. Za użytkowanie ich do rozpłodu włościanie nic płacić nie będą. Hodowla lepszych ras koni włościańskich nagradzana będzie przez premia pieniężne i listy pochwalne.

Z MIASTA i OKOLICY.

Bal na uczniów. W przeszłą sobotę w sali resursy naszej odbyła się zapowiedziana na dochód niezamożnych uczniów zabawa.

Przeszło 30 par stanęło do kontredansa i mazura, a tańce przeciągnęły się do godziny 6-ej rano.

Stroje pań wogóle były skromne, zdołaliśmy bowiem zauważyć zaledwie trzy tualety zbytkowniejsze.

Sprawozdanie z otrzymanego dochodu podamy w przyszłym numerze.

Maskarada. A więc niedzielna maskarada udała się. Udała się, było bowiem i masek dosyć i kostyumy oryginalne a nowe, bawiono się też ochoczo do nadranka.

Zpośród maskaradowiczów zwracał na siebie ogólną uwagę kanibal, pożerający żywcem... niezliczoną ilość butersznitów, oraz nadobna chinka, która wszystko, oprócz herbaty piła z apetytem.

Dalej bankier paryzki, (dlaczego paryzki), dżokej angielski, żyd galicyjski. Dwie fertyczne maski w polskich strojach podobały się ogólnie.

Dochód ze sprzedaży biletów, tym razem większy daleko niż z poprzedniej maskarady, oddano szpitalowi Ś-go Kazimierza.

W sprawie balu rzemieślniczego. (Art. nadesłany).

Wyczytawszy w poprzednim numerze „gazety radomskiej" sprawozdanie z balu rzemieślniczego, zdziwiony zostałem tendencyjnością w przedstawieniu faktów, które w rzeczywistości zupełnie inaczej wyglądały.

Że panie będące pod filarami nie chciały brać udziału w tańcach, rzecz to na wszystkich zabawach odbywanych w resursie radomskiej najzupełniej zwykła; miejsce to bowiem uważane jest za rodzaj galeryi i zwykle zapełniane damami nie tańczącemi. Powszechnie to jest przyjętem, nikt zatem tych dam do tańca nie prosi i o to, że nie tańczą, pretensyi mieć nie może.

Podobnie było i na balu rzemieślniczym, osoby, które zajęły miejsce pod filarami, na zaproszenie wiekowego gospodarza balu przeprosiły go najgrzeczniej, objaśniając, że tańczyć nie mogą, gdyż są do tańca nie ubrane; o żadnych z tego powodu uwagach, ani pretensyach osobistych niesłyszeliśmy, gdyż te nawet miejsca mieć nie mogły.

Co się zaś patrzenia przez okulary i binokle dotyczy, to sądzimy, że rzecz koniecznej potrzeby i codziennego użytku nie może być nikomu wzbronioną a tembardziej za złe uważaną. W zastosowaniu więc do balu rzemieślniczego nie powinna być braną za jakąś szykanę, lub chęć zaznaczania tym sposobem różnic w rodzajach pracy.

Tak między inicyatorami balu jak i osobami, które w jakikolwiek sposób udział w nim przyjęły, mogło być tylko jedno najszczersze życzenie, aby bal ten się najzupełniej udał, a życzenie to łatwo może być zrozumiane z najrozmaitszych względów...

Podobne jednak tendencyjne przeinaczanie faktów, zamiast korzyści dla dobra ogólnego, może tylko siać niechęć i uprzedzenia między różnemi rodzajami pracowników naszego społeczeństwa.

Naoczny świadek
J.

ARTYKUŁ 77.

Nowela.

Zadzwoniono na obiad i więźniowie, porzuciwszy pracę, zeszli do obszernej sklepionej piwnicy — stołowni. Każdy z nich niósł ze sobą krótką, głęboką, drewnianą łyżkę i kawałek czarnego, razowego chleba. Obsiedli dokoła stoły, rozbici na małe grupy po pięć, sześć lub siedm osób. Przed każdą grupą postawiono miedzianą miskę z zupą. Więźniowie jedli wesoło, rzucając żarty a czasem i kawałki kartofli pomiędzy siebie.

W sieni stali dwaj dozorcy. Palili papierosy i rozmawiali ze sobą. Ubrani byli w długie, zielone, wypłowiałe mundury. W razie gdy przez sień parterem przechodził kto z przełożonych, dozorcy się rozdzielali. Jeden wchodził do piwnicy na prawo, tam gdzie więźniowie jedli obiad, drugi na lewo, gdzie więźniom wydawano zupy. Po chwili schodzili się znowu w sieni, częstowali się świeżemi papierosami i gawędzili dalej.

Jedna z grup prowadziła cichszą rozmowę niż inne. Ludzie w niej odróżniali się trochę od całej gromady. Twarze ich miały sympatyczniejszy wyraz. Składali ją: rosły, tęgi mężczyzna, z długą brodą. Szyję, twarz i ręce miał czerwone, jak rak ugotowany. Starszy od innych. Dalej był tam brunet, cygan prawdziwy. Rzucał z pod oka niespokojne, palące spojrzenia, usta miał duże, ale zaciśnięte. Towarzysz jego, siedzący przy nim, to płaksa jakiś. Drobny delikatny blondynek, niemający jeszcze lat dwudziestu, niedawno zapewne przestąpił te mury. Smutny, nie uśmiechał się, słuchając żartów tęgiego mężczyzny z brodą; oczy jego błądziły po ścianach, jak gdyby szukały szczeliny, przez którą wyrwać by się ztąd dało. Jakiż to kontrast z tym czerwonym olbrzymem, który wyglądał jak bohater wczoraj wzięty do niewoli, ale który wie, że jutro stanie na czele swojej drużyny. Czwarty z nich był młodym, wesołym chłopakiem, nie mogącym ani chwili usiedzieć spokojnie. Co chwila wyrzucał nieznacznie gałkę, ukręconą z chleba i natychmiast odwracając się, pochylał się nad miską, udając żarłoka, myślącego tylko o jedzeniu. Gałka często przelatywała ponad głowami jedzących i upadała w kąt, czasem jednak trafiała w jaki policzek lub nos.

Postrzelony odrywał się od jedzenia, oglądał się uważnie i uderzał łyżką którego z niewinnych.

To znowu gałka, odbiwszy się od policzka, wpadała w miskę z jedzeniem. Wtedy podnosiło się kilku więźniów oburzonych, z gniewem w oczach. Wszczynała się wrzawa a sprawca jej odrywał się od jedzenia, oglądał się uważnie i pytał:

— Co to? co się stało?

Gdy zamieszanie się zwiększało, jeden z dozorców ukazywał się we drzwiach i krzyczał ochrypłym, bezenergicznym głosem:

— Ciszej tam, ciszej!

Wszystko kończyło się kilku kułakami tu i owdzie rozdanemi, poczem wyrzucano gałkę z miski i zasiadano do zupy z powrotem.

Piąty w tej grupie był to wysoki chudy więzień z bladą twarzą, na której ciemny wąsik wydawał się zupełnie czarnym.

Człowiek ten nazywał się Józef Mazurkowski. Brakowało mu tylko miesiąca jednego do odcierpienia całej kary. Przepędził w tych murach dwa lata i pięć miesięcy. Oj! te miesiące w więzieniu! Jakże one długie, okropnie długie. Czas mierzony w tym budynku, którego front ozdobiono zwieszającą się girlandą z żelaznego łańcucha, okropną jest torturą. Józef przebył tu dwadzieścia dziewięć miesięcy, wyrwanych z jego życia minuta za minutą.

Gdy wstąpił tu, gdy odziano go w szarą, szorstką sukmanę i włożono mu na głowę czapkę bez daszka, dość jakoś szybko pogodził się z myślą, że wyrok sądu spełnić się musi. Znosił karę z męzkim spokojem. Myślą żył w przyszłości. Za tą bramą czekała go rozkosz, którą tu dopiero poznał: wolność! A tylko miesiąc dzielił go od niej. Było to tak blizko, że zaczynał już tracić spokój, ręce mu się trzęsły, twarz paliła, oddech się zatrzymywał. Rano budził się w gorączce i z bólem głowy; śniło mu się, że uciekł z więzienia, że ścigano go. To znów, że przechodził po ulicach w więziennem odzieniu a ludzie wskazywali go palcami.

Ale to jeszcze miesiąc!

Pamięta on doskonale wyrok, który przeczytano mu w ogromnej, pięknej sali wobec wielu świadków. Stał wtedy pomiędzy dwoma żołnierzami, wspartymi na bagnetach. Na razie nie rozumiał nic co czytał mu ów siwy, poważny człowiek — sędzia. Potem jednak, gdy go odprowadzano do więzienia, każde słowo odżyło w jego pamięci tak jasno, jakby

Wyjaśnienie. (Art. nadesł.) Ustawa Kasy przemysłowców Radomskich, bynajmniej nie wkłada na zarząd obowiązku, zawiadamiania dłużników ani ich poręczycieli o terminach płacenia weksli przez nich wystawionych. Każdy podpisujący weksel sam o terminie pamiętać powinien. Dla dogodności jednakże interesantów zarząd Kasy zawiadamia o terminie płatności *w zamieszkaniu prawnem*, na wekslu oznaczonem i przez podpisujących takowy obranem. Rozumie się samo przez się, że chociażby sześć osób weksel podpisało, jedno tylko zawiadomienie do wskazanego wyżej zamieszkania prawnego się posyła. Więcej żadna instytucya kredytowa nie robi. Wnoszący w zeszłym numerze gazety zażalenie *Jeden z członków*, tem mniej ma prawo uczuwać się pokrzywdzonym, że przeciwko niemu kroków sądowych nie rozpoczęto, a nadto, że sam był w Kasie i objaśniono go nietylko o niezapłaconym w terminie wekslu, ale nawet o tem, jak w danym wypadku ma postąpić. Kto jednakże zbyt jest drażliwym na płacenie, niechaj nie poręcza. Miotanie się w chwili, kiedy trzeba płacić i udawawanie obrażonego, jest conajmniej nie na miejscu.

Nie odrzeczy będzie przy tej sposobności wspomnieć o nieosobliwym zwyczaju nachodzenia prywatnych mieszkań członków należących do zarządu Kasy w kwestyach bądź udzielania pożyczek, bądź wyjaśniania wątpliwości. Komitet zasiada raz w tydzień w dnie poniedziałkowe, i tylko na sesyach komitetu członkowie zarządu są w obowiązku załatwiać wszelkie czynności Kasy dotyczące. Obowiązki swe spełniają darmo, niechże przynajmniej będą od nich wolni w swych prywatnych mieszkaniach. O ileż przykrzejszy jest stosunek, jeśli potrzeba wysłuchać niesłusznych pretensyi!

Nieświadomi ustawy, za kop. 15 mogą ją nabyć w Kasie. Złotówka ta się opłaci, bo nauczy i oświeci, a zarząd uwolni od niepotrzebnych a może przykrych odpowiedzi.

Zarządzający rachunkowością.

Lombard Czy będziemy mieli swój lombard?

Właśnie o założenie tej ze wszech miar pożytecznej a potrzebnej instytucyi stara się jeden z mieszkańców naszej gubernii, który w tym celu udał się już do Petersburga.

Chyba zatem będziemy mieli swój lombard.

Taksa dorożkarzy. Z urzędowego źródła dowiadujemy się, iż dotychczasowa taksa dorożkarska zniżoną zostanie.

Nastąpi to jednak wtedy dopiero, gdy droga prędocińska aż do samego dworca kolejowego wybrukowana zostanie.

Do zarządu pocztowego. Tylokrotne odwoływania, się mieszkańców miasta o dodanie nam nowej skrzynki do listów, nie odniosły dotąd pożądanego rezultatu. Zanosimy tedy raz jeszcze prośbę do zarządu pocztowego o urządzenie takowej. Na domu p. Gruszczyńskiego, przy ulicy Lubelskiej, byłoby może najlepiej.

Niemożność czy niedbalstwo. Wszyscy znający piękną kamienną statuę Matki Boskiej przed kościołem po-bernardyńskim, niemało są zdziwieni, dlaczego od jakiegoś czasu zaniechano oświetlenia wieczorami tej figury. Pozbawiono przez to statuę pełnego poezyi uroku, jaki uderzał oczy przechodniów, zwłaszcza podczas ciemnych wieczorów i nocy.

O ile wiemy, są przy kościele tym dwie skarbonki, z których grosz ofiarowany przeznaczonym jest na światło przed figurę Bogarodzicy, czyżby więc nieoświetlanie jej należało przypisać pustkom w skarbonce czy też brzydkiemu bardzo niedbalstwu służby kościelnej?

Po co? Pan Hohendorf, zamieszkały w naszem mieście, sprowadził maszynę do kopiowania i odbija na niej wszelkie ilustracye i pisma.

Bardzo to dobrze, że pan Hohendorf sprowadził do Radomia maszynę do kopiowania, dziwi nas jednak, dlaczego pan Hohendorf dzieła wychodzące z pod jego maszyny zaopatruje w napisy: „*Lith. Hohendorfer in Radom*“ a jeszcze bardziej dziwi nas, jak pan Ciosłowski mógł mu powierzyć wygotowanie powinszowań noworocznych dla kominiarzy. Pan Hohendorf bowiem, poliglota widocznie, odbił powinszowanie w języku polskim takim drukiem, który chyba pod lupą dałby się odczytać.

Podsłuchane na maskaradzie niedzielnej.

— Mój panie, dlaczego te panie w maskach, siedzące pod filarami, nie tańczą wcale? — pyta jakiś jegomość z prowincyi radomiaka z krwi i kości.

— Widzi pan one myślą teraz.

— O czem że?

— One proszę pana myślą o tem, co też to ich *panie* myślą o nich w tej chwili.

Z Białobrzeg. Wiadomo każdemu z mieszkańców gub. Radomskiej, że pod Białobrzegami płynie rzeka Pilica, przez którą — co może nie każdemu wiadomo — przechodzą dwa mosty drewniane, trzymane w dzierżawie przez żyda. Od kilku tygodni Pilica jest zamarznięta, tak, że nietylko można chodzić po lodzie, ale nawet i bezpiecznie jeździć po nim, z czego naturalnie korzystają chłopi, przybywający z Grójeckiego powiatu na jarmarki do Białobrzeg, a którzy unikają przez to opłaty mostowego, wynoszącej przeszło 2 złote tam i napowrót od bryczki i paru koni. Otóż pan dzierżawca mostów, nie życząc sobie straty, kazał przerąbać lód w paru miejscach wpoprzek drogi, wiodącej przez Pilicę i urządził w ten sposób formalną pułapkę na przejezdnych, nic o niej nie wiedzących, albowiem przeręble, dopiero na parę kroków zbliżywszy się do nich, zobaczyć można. Dodać należy, że woda w tem miejscu głęboką jest około sążnia.

Dalej tutejszy czyściciel i prześladowca psów, urządza na nie po całych dniach polowania i nie dość na tem, że je na stryczkach po całem oprowadza mieście, ale w dodatku doraźną odbywa na widoku egzekucyę.

Uprowadza ofiary za byle węgieł domu a dobywszy z kieszeni rodzaj tasaka, zabija je na poczekaniu, składając zwierzynę na kupę, którą następnie odwozi do domu.

Czytelniku gazety naszej sądź, o ile jesteśmy w porządku.

I. K.

Z Opoczyńskiego odbieramy następującą korespondencyę.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z ciężkiego zarzutu, zrobionego mi w korespondencyi p. G. w Nr. gazety 101 z roku zeszłego, jakoby wiadomość zakomunikowana przezemnie do Nr. 98 Gazety Radomskiej sprzeciwiała się istniejącej prawdzie, czuję się w obowiązku niniejszem usprwawiedliwić. P. G., będąc jeszcze urzędnikiem akcyzy w Opocznie, przyjeżdżał naumyślnie do mnie do Jankowa i robił mi propozycyę wycięcia drzew „nad szosą“ stojących a nawet położonych o kilka sążni od takowej, utrzymując, że szosa łatwiej wtedy będzie wysychać i piękniej wyglądać. Na propozycyę tą nie przystałem. Gdy więc w roku ubiegłym doszła mnie wiadomość, że p. G. każe drzewa z nad szosy wycinać, miałem zasadę wierzyć temu.

Widok wyciętych drzew na terytoryum Prymusowa Wola i Wielko-wola, a położonych „nad szosą“, spowodował moją korespondencyę, zdaje się dostatecznie umotywowaną.

Przytem objaśniam, że drzewa, które padły pod siekierą, komunikacyi nie tamowały, wszystkie bowiem stały poza słupami linii telegraficznej (a niektóre i za rowem, o czem pieńki świadczą), rosły zaś od strony północnej, nie mogły więc utrudniać wysychania szosy. Co zaś do drutów telegraficznych, to co rok jesienną porą przy rewizyi linii wszystkie gałęzie grożące im i za blizko rosnące tychże, były obcinane, a drzewa na terytoryum Prymusowa-Wola jeszcze dawniej obcięte do wysokości 5 łokci, grozić bezpieczeństwu publicznemu nie mogły. Nie moja zatem korespondencya fałszywa.

Sądzę, że zechcecie te kilka słów pomieścić w swojej Gazecie, aby mnie usprawiedliwić ze zrobionego mi publicznie zarzutu.

Racz przyjąć Szanowny Redaktorze...

Stanisław Psarski.

---

w tej chwili wypowiedziane. Skazano go na dwa i pół roku do rot aresztanckich... za kradzież.

Nie wypierał się on jej wcale. Uczynił to — był w biedzie, w nędzy. Złe towarzystwo wepchnęło go na drogę, prowadzącą przed kratki sądowe; popełnił kradzież. Teraz żałował jej, ale widział w tem konieczność; wszystko tak ułożyło się wtedy na świecie, że inaczej nie mógł postąpić.— Zresztą... był sierotą i nikt go żyć nie nauczył. Matka odumarła go dzieckiem, a ojciec?... ojca nie znał wcale!

Dziś, w więzieniu, zdaje mu się, że życie zmieniło się. Zdaje mu się, że go tam czekają, że nie sama na świecie wygląda go nędza... Wszakże czekała go wolność.

Towarzysze zazdrościli mu, tak jak on zazdrościł tym, którzy podczas jego kary opuszczali więzienie. Szczególniej mały a wątły blondynek patrzył na niego bolesnym, załzawionym nieledwie wzrokiem.

Józef nie żałował nikogo. Powietrze wiejące na świecie poza temi wstrętnemi murami, wabiło go. Dostawał nieledwie zawrotu głowy. Niezdolny był rozumieć cudzej boleści; drżał na myśl o szczęściu własnem.

I tak nie miał jeszcze najnieszczęśliwszej doli. Zamiast do rot aresztanckich przyprowadzono go tu, do domu roboczego. Nie zastanawiał się zbytnio nad tem. Czas był dla niego karą, nie miejsce. Towarzysze jego jednak, którzy z posłuchu znali okropne życie w rotach, mówili mu, że go spotkało szczęście. Może i to było szczęście, to pewna jednak, iż szczęśliwym nie czuł się tu ani chwili.

Tymczasem miesiąc ostatni wlókł się jak nienasmarowana maszyna. Dnie mijały wprawdzie, ale tak, jak poruszają się wskazówki zegara, gdy się na nie patrzy. A Józef wpatrywał się w szary cyferblat więziennego dnia...

Wieczorem, gdy się położył na twardym tapczanie i owinął się kołdrą cały wraz z głową, marzył o przyszłości. Co on zrobi, gdy opuści ten dom kary? Pójdzie naprzód na tę szeroką ulicę, po której ongi codziennie chodził, ażeby na chwilę przystanąć przed owocarnią. Stanie przed dużą szybą wystawową i rzuci spojrzenie w głąb sklepu. Czy zobaczy tam ową kobietę, szczupłą wprawdzie, ale tak piękną z jej błękitnemi oczami. Dawniej, zanim go tu zamknęli, spacer ten był jego niezbędną potrzebą. Rano, gdy jeszcze ruch nie obudził się na ulicach, krążył koło owocarni. Czekał póki nie otworzą sklepu i póki nie wejdzie doń ta z błękitnemi oczami. Patrzył na nią zdaleka, jak otwierała kłódkę, jak stała chwilę przy chłopcu, który odejmował żelazną sztabę zamykającą drzwi i jak potem nikła w ciemnym jeszcze sklepie. Następnie oddalał się na miasto, żył dzień cały rozrzuconem życiem biedaka a wieczorem, wracając do brudnej stancyi, gdzie mieszkało wraz z nim siedmioro ludzi, przystawał znowu na chwilę przed wystawą owocarni, zaglądał do wnętrza oświetlonego sklepu i szedł dalej.

Była to cała historya.

Nigdy jednak nie pragnął dowiedzieć się, kto była ta kobieta, właścicielka sklepu, czy tylko sklepowa? Panna czy mężatka? Po co mu to było potrzebne? Czy dla niego nie wszystko jedno kto ona?! Byle mógł spojrzeć na nią raz na dzień — nic więcej nie pragnął.

Gdy odebrano mu wolność, tego tylko żałował, że nie mógł pójść przed owocarnię. Ach! gdyby mu pozwolono tam pobiedz na chwilę, choćby raz na miesiąc! O tej porze, kiedy otwierano sklepy, więźniów wyprowadzano na robotę. Józef zawsze był wtedy smutny i zwieszoną miał głowę. To jedno gniotło go. Nieraz porywała go żądza rzucenia się na mur z pięściami i rozbicia go; nieraz chciał skoczyć do gardła owym ludziom w zielonych mundurach, którzy go pilnowali i dusić ich, bo bezsilność własna do wściekłości doprowadała go często. Chwiał się potem, osłabiony gwałtownym, niezrozumiałym napadem burzy, szalejącej w nim i opierał się o ścianę. Po chwili uspakajał się, przypominał sobie ile to miesięcy dzieli go od czasu, w którym będzie mógł pobiedz tam i zabierał się do pracy. Takie uczucia przechodził co dnia rano, ile razy wyprowadzano więźniów na robotę.

Usypiając, owinięty kołdrą, jakby oddzielony od tego świata, w którym żyć go przymusiło prawo, ostatnią myśl oddawał znajomej z owocarni. Dwa lata więzienia nie zatarły w nim jej wspomnienia. Przeciwnie! miał ją ustawicznie przed oczyma.

Dzień jego wyzwolenia, wprawdzie zwolna, zbliżał się przecież.

Nadszedł!

Co to był za dzień... Józef nic nie jadł. Towarzysze niewoli śmiali się z niego, on nic nie słyszał, rozgorączkowany. Spoglądano na niego z zawiścią. Było mu czego zazdrościć doprawdy!

Józef myślał, że dziś go jeszcze wypuszczą. Wyczekiwał chwili kiedy zawołają go do kancelaryi i wydadzą mu jego ubranie. Pobiegnie zaraz do owocarni... a potem... biegać będzie po ulicach, a potem zbieży całe miasto, a potem za rogatki w pola... Zbliżył się wieczór, pisarze z kancelaryi popochodzili do domu. A zatem jutro dopiero!

Z KRAJU.

Wódka z buraków. Były profesor chemii szkoły głównej warszawskiej, obecnie profesor tegoż przedmiotu w szkole gospodarstwa wiejskiego w Dublanach, bawiący od dni kilku w Warszawie, Dr. Wawnikiewicz, niebawem ogłosić ma niezmiernie ważną pracę dla obecnych stosunków, pracę o fabrykacyi alkoholu z buraków.

Kwestyą tą zajął się nasz chemik w charakterze dyrektora kursów gorzelniczych, istniejących w Dublanach w sezonie letnim, a za przedmiot spostrzeżeń miał nietylko własną pracownię, ale założoną przed kilku laty w Galicyi gorzelnię buraczaną, która po wielu niepowodzeniach i próbach doszła do tego, że fabrykacya odbywa się w niej prawidłowo a po odtrąceniu wszystkich kosztów, kapitału, na amortyzacyę i t. p., burak przerobiony na alkohol może być zapłacony po tej samej cenie co kartofel a jak w roku ostatnim, po reńskiemu i kilka centów za korzec stokilogramowy.

W dzisiejszych stosunkach cukrowniczych, gdy fabryki mączki z dostawą do cukrowni na jesieni chcą płacić za korzec 300 funtowy po 75 kop., urządzenie gorzelni buraczanych mogłoby przedstawiać pewien interes tak dla plantatorów samych, jakoteż i dla właścicieli zabudowań fabrycznych, w których mieszczą się cukrownie — i dla tego na specyalność D ra Wawnikiewicza i na ostatnią jego pracę zwracamy uwagę czytelników „Gazety“ oraz wogóle ziemian stron bliższych i dalszych.

Loterya klasyczna. Według nowych przepisów o loteryi klasycznej zostało postanowionem, aby osoba kupująca bilet podawała kolektorowi swój wiek i wyznanie, dla zanotowania w odpowiedniej księdze. Słusznie z tego powodu zauważono, że kwestya lat, o ile dotyczy kobiet, sprawia pewien ambaras obu stronom, pytającej i dającej odpowiedź.

Dla wygnańców. Właściciel dóbr Siemionowa, w gubernii Smoleńskiej, w celu przyjścia z pomocą wydalonym z Prus Polakom, chce rozparcelować swój majątek, składający się z 1.200 dziesięcin i pojedyncze działki odstąpić wygnańcom na dogodnych warunkach. Każda zgłaszająca się rodzina może otrzymać tyle dziesięcin, ile zażąda, nie więcej jednak jak 12, na lat 5 bezpłatnie; następnie płacić będzie przez lat trzy po rubli jeden z dziesięciny rocznie, przez następne trzy lata po dwa ruble, a później stale po trzy rs. rocznie. Wydaleni mogą też nabywać tam ziemię na własność po cenie trzydziestu rubli za dziesięcinę. Drzewo potrzebne na zabudowania i opał daje właściciel darmo. Ziemia jest dobra, albowiem w roku urodzajnym daje 18 do 20 ziarn.

ZE ŚWIATA.

W uniwersytecie wiedeńskim znajduje się obecnie 500 studentów polaków. Skutkiem tego przeludnienia nędza pomiędzy nimi panuje wielka. Obecnie zawiązuje się w celach dobroczynnych stowarzyszenie.

Stowarzyszenie Polek w Ameryce. W Chicago bawiące Polki założyły z własnej inicyatywy stowarzyszenie pod nazwą „Grosz polski“; ma ono na celu niesienie bratniej pomocy chorym, opiekowanie się starcami i sierotami polskimi w Ameryce i szerzenie oświaty za pomocą odczytów, wieczorków literackich, zabaw i widowisk amatorskich.

Lekarzem nadwornym szacha perskiego mianowany został Nikodem Puchalski, student fakultetu paryskiego. Rodak nasz praktykował w St. Omer i zaleconym został dworowi perskiemu przez posła francuzkiego w Teheranie.

W Wenecyi w dniu 25 kwietnia r. b. zostanie otwartą wystawa artystyczna narodowa, która trwać będzie do dnia 25 października r. b. Jesnocześnie z wystawą dzieł sztuki, których Włochy posiadają tak wiele, odbędzie się kongres budowniczych i inżynierów, turnieje międzynarodowe strzelców i gimnastyków, regaty weneckie i międzynarodowe, a oprócz tego koncerty, widowiska oraz rozmaite zabawy, do których w przewidywaniu licznego zjazdu cudzoziemców już dziś czynią przygotowania.

Z NAUKI, LITERATURY i SZTUKI.

„Kuryer Chicagoski“. W Chicago pojawił się pierwszy, wychodzący w Ameryce polski dziennik codzienny. Prócz wiadomości potocznych zawiera on pogląd na miejscowe stosunki narodowe i społeczne, artykuły o kwestyi robotniczej, podaje wiadomości z życia emigracyi europejskiej, odcinek, słowem pismo przedstawia się nader pokaźnie. Redaktorem jego jest warszawiak, pan Sadowski.

Na konkurs „Świtu“ nadesłano 12 fejletonów. Nagrodę przyznano fejletonowi pod godłem „*Qui sait*“, którego autorem jest p. Maryan Gawalewicz. Dwa jeszcze konkursowe odcinki oprócz powyższego na wyróżnienie zasłużyły i umieszczonemi będą w następnych numerach „Świtu“ a mianowicie z godłami „Piątek“ i „Blanka“.

Wiadomości polityczne.

O tem, o czemby każdy rad wiedzieć, to jest czy będzie wojna, albo na jak długo da się utrzymać pokój upragniony, najlżejszych wskazówek, mających za sobą pewność jakkolwiek nawet względną, w najnowszych wiadomościach z kilku dni ostatnich nie ma. Natomiast fabryka postrachów wojennych, założona w Berlinie, wiemy w jakich celach, wystąpiła z króciutkim telegramem, jako: „Wiadomości najdziwaczniejsze i najmniej prawdopodobne spowodowały na giełdzie niepomierny popłoch“ tak, że pruskie papiery nawet straciły 4 procent, gdy strata niektórych innych dochodzi i do 17.

Zagadkowe to i mistyczne doniesienie nic nam przytem nie wyjaśnia, jakie to właściwie nowinki za dziwaczne i mało prawdopodobne uważać mamy. Czy to, że blizko stuletni cesarz i ośmdziesięcioletni kanclerz, obaj syci sławy, powodzeń, mają z młodzieńczą nieopatrznością rzucać się w awantury wojny, w gorszych warunkach podjętej aniżeli 1870 roku. Czy może to, że Niemcy mają zupełne prawo żądać od francuzów niebudowania baraków i usunięcia Boulangera od władzy. Tylko cóż odpowiedzić wtedy, gdy ciż francuzi oświadczą: budowaliście także i wy baraki, a my nic nie mieliśmy przeciw, temu boć „wolno Tomku w swoim domku“ a Boulangera wtedy usuniemy, jak nam usuniecie wzajem wroga Francyi Bismarcka.

Dziwaczną jest zapewne także skłonność niektórych gazet do czynienia rodzaju flibustiera ze zwycięzcy z pod Śliwnicy, bo raz go już wysyłano do Indyi na dowódcę wojsk, jakby konstytucya angielska na to pozwalała, to znowu do Masawy, jakby poddanego Włoch, wierzący zaś w to uporczywie, że stanie na czele półmilionowej armii państewek bałkańskich, zaręczają (nie dodają jednak, iż z zalecenia samego Bismarcka), że Battenberg na czas wyboru księcia przez naród bułgarski, będzie siedział w gościnie w Bukareszcie u króla Rumunii, wnuka pobocznego cesarza Wilhelma.

Zpomiędzy dzienników, które najmniej zachowują złudzeń, aby przestarzałe szalbierki dyplomatyczne, kurs nadal swój utrzymać mogły, wyróżnia się szczególnie gazeta „Now. Wrem.“ rosyjskie, która wręcz powiada. „Że zdaje się, iż same rządy nie zdają sobie jasno sprawy ze swych słów i czynów“. Gazeta ta wyśmiewa subtelności p. Tiszy, który niezmierny nacisk kładzie na *domniemaną* ogromną różnicę wyrażenia „przygotowania do wojny“ a wyrażenia „przygotowania na przypadek wojny“. Otwarcie „Now. Wremia“ oświadcza, że wszyscy wrogowie Rosyi, rzucili się do konferencyi stambulskich, sądząc, że przez to zyskają chociaż dwa miesiące czasu do wiosny na skombinowanie swych planów i przytacza bajeczkę o myśliwym, co przed nacierającym niedźwiedziem rzuca torbę i czapkę, aby dopaść bezpiecznego schronienia.

Z tego ostrzeżenia gazety rosyjskiej, możemy się domyślać, że pokój Europy zawisłym jest poniekąd od wypadków, które mogą poruszyć polityczne drażliwości tego mocarstwa. Że w razie takim nikt nie może przewidzieć na czem

---

Nie spał tej nocy. Nazajutrz obudził się z podsiniałemi oczami. Kazano mu pracować, jak zwykle.

Pracował.

Stał się potulnym jak baranek. Drżał, ażeby nic popełnić czegoś, za co by zatrzymano go w więzieniu, choćby przez dzień jeden. Wytężonym wzrokiem spoglądał w okna kancelaryi. Wyobrażał sobie, że w tej chwili tam mówią o nim. Wytężał słuch, czy nie pochwyci nazwiska swojego. Czekał.... a oczekiwanie jest zawieszeniem życia!

Minął dzień, przyszła noc — a on tu jeszcze?!

Oh! to okropne. Dlaczego nie uwolniono go dziś? Dlaczego skradziono mu ten dzień, pierwszy dzień wolności?... Czyż nie dość im było lat!

Józef rzucił się na łóżko z rozpaczą. Oto minął dzień, w którym miał pobiegnąć tam, przed owocarnię, zobaczyć ją po dwóch i pół latach. O! czy ją zastanie! Pierś wzbierała mu łkaniem, walczył z płaczem. Zwalczył go. Położył ciężką głowę na poduszce ze słomy. Wszakże jutro uwolnią go niezawodnie. Nie, nie myli się. Wczoraj upłynął ostatni dzień jego kary. Trzy razy przeliczył miesiące. Tak! Dzień dzisiejszy, to zbrodnia popełniona na nim.

Drugiego dnia znowu kazano mu pracować. Osłabiony był, ale się poddał bez szemrania. Towarzysze cieszyli się bólem jego. Znowu to oczekiwanie do wieczora. Znowu przeszedł dzień. Co to znaczy? Józef walczył z porywającą go wściekłością. Coś popychało go, by wpaść do kancelaryi z zaciśniętą pięścią i krzyknąć:

— Czemu trzymacie mnie jeszcze. Ja wolny już!

Ale obawa skutków tego kroku powstrzymywała go. Chwiał się na nogach, osłabiony bezsennością, głodem i rozpaczą! Czuł, że się zbliża do jakiejś granicy, do której wlecze się ostatkiem sił swoich, że jeszcze parę chwil, jeszcze parę kroków a upadnie przy niej może bez życia. A te mury takie spokojnej nieporuszone, zimne...

Nadeszła noc, w której Józef usiłował usnąć. Toczył ze sobą walkę. Czuł, że sen jest mu koniecznym. Z ust jego dobywał się oddech gorący. Niepokoił się, obawiał choroby, szpitala, bo to przedłużyłoby jego pobyt w więzieniu. Zamykał siłą powieki, ale się natychmiast otwierały. Zdawało mu się, iż ma zawielkie oczy, że nie zdoła ich przykryć. Głowa go bolała. Różne myśli snuły mu się po niej. Więzienie, matka, sąd, owocarnia... ta kobieta z niebieskiemi oczami! Widział ją poza więzieniem, poza matką, poza sądem! Usiłował nie myśleć, starał się nie poruszyć ani ręką, ani nogą, byle usnąć.

Znużony usnął nad ranem.

Wkrótce go zbudzono. Wstał, głowa jeszcze ciężyła, ale pewniej stąpał po ziemi.

O! dziś... dziś...! Dziś przegląd więzienia przez zarządzającego. Wystąpi przed nim i o swoją wolność upomni się... pokornie, z uszanowaniem. Zarządzający dobrym jest człowiekiem. Krzywdy nie zrobi.

O dziesiątej przybył zarządzający. Był to przystojny, młody mężczyzna w urzędowym mundurze urzędnika cywilnego szóstej klasy. Piękną miał czarną brodę, starannie uczesane włosy. Białe, delikatne ręce krył w kieszeniach. Mówił powoli, cicho, stąpał na palcach, do dozorców i do więźniów odzywał się miękko, jak w salonie.

Więźniowie ustawieni byli szeregiem w ogromnej swojej sypialni.

Zarządzający oglądał pościel ich, jedzenie, ich samych. Pytał czy który nie chory?...

Wtedy wystąpił Józef. Prośbę swoją wypowiedział drżącym głosem. Onegdaj upłynęło dwa i pół lat — cały ciąg jego kary.

Zapanowała chwila milczenia.

Józef wstrzymał oddech. Wzrok jego błagał o litość.

Zarządzający wyjaśnił mu kwestyę.

Tak! Skazano go do rot aresztanckich na dwa i pół lat, ale administracya zamieniła mu tę karę na dom roboczy, na zasadzie artykułu 77. Wedle brzmienia artykułu tego, czas w domu roboczym liczy się dłużej. Rok za trzy kwartały. Dlatego więzień musi tu pozostać jeszcze piętnaście miesięcy.

Zarządzający skończył i oddalił się.

Zapanował gwar. Więźniowie rozproszyli się po całej sypialni. Z całego szeregu pozostał tylko jeden człowiek na miejscu. Kilkunastu innych otoczyło go. Rzucano mu wesołe docinki, zadawano pytania.

On chwilę nie rozumiał nic. Chwilę patrzył nieruchomym wzrokiem i nagle runął bezwładnie na ziemię. Z piersi jego wydobył się spazmatyczny, głośny płacz, podobny do ryku.

A ci wkoło niego zawistni przed chwilą a zazdrości pełni, w przystępie dzikiej, ludziom tylko właściwej radości, krzyknęli:

— Hura!!!

W. Kosiak......

zatrzymają się rzeczy, gdzie ich koniec? i czy nurtujący cały zachód socyalizm, nie podniesie głowy.

To też są właściwe przyczyny ogólnie panującej trwogi. Dlatego jakkolwiek sędziwy cesarz Niemiec w tej chwili zupełnie i najprawdziwiej upewniał, iż powołanie stu tysięcy rekruta dla obeznania go z nową bronią nie znaczy wojny, słowa te nie rozproszyły o czarną przyszłość obawy, bo każdy czuje, iż uspokojenie tego rodzaju katastrof, nie zewszystkiem leży w gabinetów mocy. Słowa kanclerskie wyrzeczone kiedyś pół żartem, że bez parlamentów i giełd obchodzić się ludzkość może, bliższemi są spełnienia, niż się do tej chwili wydawało, jeśli prawdą jest, że ostatnia panika miała giełdzistom przyniść dwa miliardy straty.

Po zapewnieniach władcy Niemiec, mamy także pomniejsze, pan Laboulaye z Petersburga pisze do swego rządu, że Niemcy nie zaczepią Francyi. Minister Ziemiałkowski w przemowie swojej zaręczał, że stosunki zewnętrzne Austryi są najzupełniej zadawalniające; dotychczas żaden zwrot szkodliwy dla sprawy pokoju nie zaszedł. Położenie jest poważne, ale żaden z rządów nie chce wojny. Uzbrojenia Austryi są koniecznością przezornej polityki; wszak tyle lat reparowała swoje finanse oszczędnościami na armii. Dysonansem pośród tego jest pogłoska, że Niemcy na cele wojenne szukają 350 milionów marek pożyczki: miała ona podziałać bardzo deprymująco na kursy giełdy.

Zamiast zapowiedzianej przez kanclerza nagany dla Windhorsta i katolików, co stoją w opozycyi siedmiolecia — ze strony papierza — mamy tylko notę kardynała Jakobini, w której zaleca pilnowanie dobra kościoła, dopominanie się o rewizyę praw majowych przez rozumną, sumienia nie naruszającą uległość dla panującego. *Obsequium vestrum sit semper rationabile* (poddanie się wasze ma być zawsze rozumnem).

Że książe kanclerz niemiecki ma o wiele poważniejsze zatargi do zwalczenia, aniżeli nieporozumienia z gabinetami, mniej więcej pragnącemi pokoju czy w tej, czy w owej formie, dowodem tego, że w jednym Berlinie schwytała policya 40.000 pism i broszur socyalistycznych a zatem mocno podejrzanych.

Dziś „pesymistyczną“ przez „Kuryera Codziennego“ w Nr. 18 przezwana prasa petersburska, może mieć racyę, że najmędrszy z polityków obecnie położenia nie rozumie i nic nie wie, bo wszystko w ręku Boga.

Ostatnia „Gazeta Handlowa“ notuje polepszenie kursów. Ruble na 184.10 mar. Banknoty austryackie stoją 86.40 rublami.

TELEGRAMY.

Wiedeń, 7 lutego. Następca tronu arcyksiąże Rudolf powiedział deputacyi, zapraszającej go na na bal polski, że dawno cieszy się nadzieją odwiedzenia pięknego balu polskiego.

Berlin, 8 lutego. Wmieszanie się Papieża w wewnętrzne sprawy Niemiec jest przedmiotem powszechnego utyskiwania w sferach katolickich, zachowawczych i wolnomyślnych. Tylko organa narodowo liberalne usprawiedliwiają krok Leona XIII-go. Windthorst na onegdajszym wiecu katolików w Kolonii wyłożywszy powody, dla których centrum nie może pójść za głosem Watykanu, wyraził nadzieję, że „Ojciec św. nie będzie gniewał się na swe wierne sługi, jeżeli dobrze rozważy ich pobudki“.

Lwów, 7 lutego. Wczorajsza pogłoska niektórych dzienników wiedeńskich, o zamierzonem jakoby ustąpieniu Dunajewskiego, jest bezzasadna. Stanowisko ministra po załatwieniu zwłaszcza sporu z Węgrami w kwestyi cła od nafty, silniejsze jest niż kiedykolwiek.

Berlin, 7 lutego. Z Paryża z poważnych zapewniają źródeł, że dni gabinetu Goblet'a są policzone i najprawdobniej ster ministeryum obejmie znowu Freycinnet albo Ferry.

Berlin, 8 lutego. Odezwały się znowu alarmujące głosy półurzędowe. Marszałek Moltke, przyjmując deputacyę zachowawczego komitetu wyborczego, oświadczył, że „sytuacya jest jaknajpoważniejszą“ (*ernstest*).

ROZMAITOSCI.

Zbytnia wrażliwość.

— Cóżeś tak zmieniony? — pyta ktoś swego przyjaciela, byłego mecenasa.

— Wystaw sobie — odpowiada zapytany -- czwarty już z moich dawnych dependentów umiera, to mnie tak zalterowało, że nie mogę przyjść do siebie.

— Cóż wielkiego — rzeknie na to żartowniś — tem lepiej, będziesz miał na tamtym świecie gotową kancelaryę.

Wybryk ten humoru tak dalece przeraził mecenasa, że się położył w łóżko, majacząc w gorączce, że jakieś w niebie dyktuje obrony.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu N. N. w Opatowie. Z żalem przyznać się musimy, iż nie zdołaliśmy znaleść osoby, któraby zechciała być stałym naszym korespondentem z Opatowa. Wszelkie zaś artykuły drukowane dotąd w naszej gazecie, a dotyczące Opatowa, były pióra naszego współpracownika, który bawiąc często w Opatowie, nadsyła nam ztamtąd korespondencye.

Depesze, które nie zostały doręczone skutkiem nieodnalezienia adresatów: z Prasnysza *Tomaszowi Krośnickiemu*; z Włoszczowy, Hotel Krakowski *Rydzykowskiewu*; z Warszawy *K. Finkelsztejnowi*; z Niżno-Nowogrodu, Nowo-Aleksadryjska ulica *Bujalskiemu*.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca Dr Rewoliński. Дозволено Цензурою. — Радомъ, 28 Января 1887 г. W drukarni J. K. Trzebińskiego w Radomiu.